Ochrona lasów.

Do bardzo poważnych szkodników, działających ujemnie na istotę lasów, zaliczyć musimy owady, które w rozmaity sposób szkodzą lasom. Kiedy bowiem jedne np. objadają igły w drzewostanach iglastych w czasie rozpoczęcia wegetacji drzewa, przez co powodują nieraz obumieranie całych obszarów, to natomiast inne robią to samo w drzewostanach liściastych, przez co wprowadzają drzewo w stan chorobliwy, zmniejszają przyrost, pozbawiają je kwiatów lub uszkadzają sam owoc. Gdy jedne napadają na drzewa już obumarłe, świdrując nietylko ich korę ale i drewno, to inne czynią toż samo na drzewach zupełnie zdrowych. Z tego widzimy, że w niektórych, np. zaledwie okiem dostrzegalnych owadach, ma las strasznych wrogów.

Lecz i tu nietylko nauka ale również i ustawodawstwo podjęło z tymi szkodnikami bój śmiertelny. Jest to rzecz zrozumiała, jeżeli uprzytomnimy sobie, że przecież las, to dobro ogólne, nad całością którego obowiązani są czuwać wszyscy.

Każdy przeto właściciel lasu jest odpowiedzialnym, jeżeli nie doniesie władzy o pojawieniu się w jego lasach epidemicznie występujących owadów. Mieliśmy już tego przykłady, iż zaniedbanie doniesienia o pojawieniu się w swoim czasie ćmy — brudnicy mniszki, ściągnęło na właściciela nietylko odpowiedzialność administracyjną, lecz naraziło go na koszta i długotrwałe procesy cywilne o odszkodowanie za straty, poniesione w lasach przez sąsiadów, którzy nie mogli na czas podjąć środków, zapobiegających inwazji tych szkodliwych owadów.

Chcielibyśmy w streszczeniu zapoznać czytelników z najpopularniejszymi, z jakimi stale się spotykają w życiu codziennem i bardzo często kiedy, po skończonych uprawach wiosennych, powodowani ciekawością, zajdą na porębę i spojrzą na szeregi do niedawna zielonych sadzonek, to ze zdumieniem skonstatują, iż szeregi te poważnie się przerzedziły i że zaledwie sadzonka zielona stoi gdzie nie gdzie, reszta albo leży na ziemi, a jeżeli stoi jeszcze to z pożółkłem igliwiem, z wierzchołkiem pochylonym ku ziemi. W podobnych razach nie po-

trzeba już nawet szczególniejszego zamiłowania do lasu, aby człowiek się uniósł, zwłaszcza, kiedy poprzednio przez cały szereg tygodni intensywnie oddawał się pracy i dozorowi nad dokładnem sadzeniem i nieraz dobrze natarł uszu pracownicom za nieścisłe udeptanie wsadzonej roślinki. A teraz, ten trud, ta znojna praca, poszły na marne. Szukając przyczyny i biorąc jedną po drugiej sadzonkę uschniętą widzimy, iż te nietylko łekko wydobywają się z ziemi, ale również, że nieomal wszystkie pozbawione są bocznych korzonków, a inne poprostu przecięte. I niejednemu wówczas wymknie się brzydkie przekleństwo, skierowane pod adresem sprawcy tych szkód.



Rys. I.

A winowajca właśnie z wesołym huczącym brzękiem, kilkakrotnie już uwinął się w powietrzu około twej głowy, ot taki sobie zwyczajny

chrząszcz a właściwie chrabąszcz majowy, jaki z gęsto przez towarzyszy obsiadłego dębu, zerwał się do lotu. Właśnie w tym miesiącu, od jakiego powstała jego nazwa, dopiero wydobył się z ziemi, a nakarmiwszy się do syta miękkiemi listkami dębu, korzysta, że słońce ma się ku zachodowi i zaczyna oblatywać drzewa w poszukiwaniu samicy. A chociaż każdy zna go dobrze, nawet najmłodsze dziecko, nie od rzeczy będzie, gdy powtórzymy tu jego życie i szkody, jakie lasom wyrządza.



Rys. II.

Przypatrzymy się mu raz jeszcze. Jest to, jak widzimy na rys. I, 1 (samica), 2, 3 i 4 (samce) owad, którego ciało składa się z trzech części, t. j. głowy, tułowia i odwłoka, zakończonego zgiętym ku ziemi wyrostkiem.

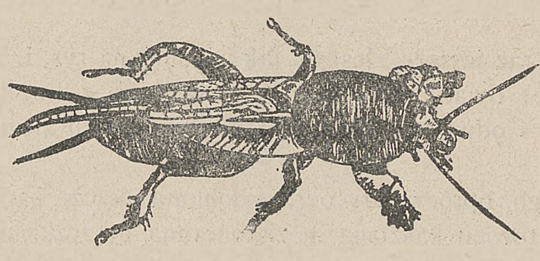
Głowa koloru czarnego, oprócz pary ócz, ozdobiona jeszcze parą rożków koloru dojrzałego owocu kasztana, a zakończona pyszczkiem, zdolnym do żucia pokarmów. Sam tułów chrabąszcza majowego składa się z trzech odcinków, a na każdym z nich znajduje się para odnóży. Owad ten posiada dwie pary skrzydeł tuż przy sobie. Pierwsza wierzchnia, przykrywa całe ciało, zbliżona kolorem do koloru rożków, twarda, druga pod nią — błonkowata — służy do latania.

Na rys. II, 5 widzimy pojedyńcze jaja, pod 6, 7, 8 gąsienice, inaczej pędraki w różnych chwilach życia, pod 9 poczwarka, pod 10 chrabąszcz już zupełnie wykształcony lecz zimujący jeszcze w ziemi, pod 11 i 12 — obraz żerujących pędraków na korzeniach młodzieży drzew iglastych i liściastych.

Na rys. I, 1 widzimy jak doskonały owad objada liście, co robi również na drzewach iglastych modrzewia. Przez dzień cały spoczywa, żerując na drzewach, a dopiero z chwilą zachodu słońca roi się. Zapłodniona samica, szukając dogodnych miejsc na złożenie jaj, wybiera ziemie pulchniejsze, wzruszone, jak np. pola orne, szkółki lub kultury i tam, zagrzebawszy się w ziemi, składa jaja. W czasie od czterech do sześciu tygodni wylęgają się gąsieniczki, jakie w pierwszych dniach swojego żywota żywią się korzonkami traw, a nabrawszy sił, co następuje w drugim roku życia, żywią się już korzonkami młodych drzewek.

Gąsienice owe, pod nazwą pędraków, żyją w ziemi przez trzy lata, a dopiero w końcu trzeciego roku swego niszczycielskiego życia przepoczwarzają się jak pod 9 i tego jeszcze roku, przed nadejściem zimy, wylęga się z tych poczwarek chrabąszcz doskonały, zimujący jeszcze w ziemi do wiosny, skąd z nastaniem dni ciepłych, t. j. w końcu kwietnia lub początku maja, kiedy już liść okrył drzewa, wychodzi na powierzchnię ziemi. Regularnie więc co cztery lata jesteśmy świadkami inwazji chrabąszcza majowego. Z tego, cośmy powiedzieli dotychczas, łatwo się przekonywujemy, iż całe pokolenie działa na szkodę lasu, poczynając od pędraków, a skończywszy na doskonałym owadzie.

Walka z tym szkodnikiem trudna, ogranicza się bowiem na zbieraniu samych chrabąszczy, strząśniętych z drzew i zabijaniu przez parzenie gorącą wodą, jak również niszczeniu pędraków podczas kopania lub orki. Ptactwo, szczególniej wrony, oddaje niemałą przysługę, żarłocznie zjadając wyorane pędraki. Drób domowy i trzoda chlewna doskonale się pasą na chrabąszczach, jakich im dostarczają zapobiegliwe gosposie, zbierając je po swoich sadach lub w lesie, czego w tym wypadku nie powinno się zabraniać.



Rys. III.

Drugim, niemniej szkodliwym dla lasu owadem, jest t. zw. turkoć podjadek, którego gąsienice, na podobieństwo pędraków, uszkadzają korzonki młodzieży w kulturach i szkółkach. Wprawdzie te szkody są

mniejszych rozmiarów ale równie dotkliwe nie tylko przez same zgryzanie korzonków, ale również przez wyważanie siewek w szkółkach podobnie, jak to robi kret, albowiem nawet doskonały owad żyje przeważnie w ziemi, grzebiąc długie chodniki i podcinając równocześnie napotkane w drodze korzonki, jakiemi się żywi.

Często spotykamy w szkółkach jak całe rzędy sewek od początku do końca leżą poprzewracane na wzniesionej lekko ponad powierzchnię ziemi, wskutek właśnie wygrzebania pod niemi chodnika i podcięcia korzonków przez turkucia.

Jest to owad, jak widzimy na rys. III, o ciele walcowatem, pokrytem krótkimi, jedwabistymi włoskami, o sześciu odnóżach, z których pierwsza para przednia znacznie grubsza, silniejsza i rozwinięta na kształt łopat o zazębionych końcach, nieco nazewnątrz wygiętych, doskonale służy do grzebania chodników w ziemi i podcinania korzeni napotkanych roślin.

Turkuć podjadek roi się w czerwcu, a w początkach lipca samice składają w umyślnie zbudowanych gniazdkach jajka, wielkości ziarnek prosa. Po upływie dwóch do trzech tygodni, lęgną się z tych jaj gąsieniczki, karmiące się korzonkami rozkładających się roślin w pobliżu gniazd.

Tępienie tych szkodników ogranicza się na niszczeniu gniazd przed wylęgiem gąsienic i chwytaniu turkuci w pułapki, jakiemi są zwyczajne gliniane garnki, wkopane w ziemię, lekko przykryte świeżą końską mierzwą, jako przynętą. Zwabione zapachem mierzwy, turkucie wpadają do garnka, z jakiego z powrotem trudno im się wydostać.

Do stałych mieszkańców i nader poważnie szkodliwych owadów, jakie w sprzyjających rozwojowi ich warunkach stać się mogą groźnymi, należy barczatka sosnówka, rys. IV i V, szkodliwa przez swoją gąsienicę, która objada igły na drzewach sosnowych w starszych drzewostanach, a w braku tychże również i w drągowinach. Znany to dobrze i często spotykany motyl, którego samica (1), znacznie większa od samca (2), przez dzień cały spoczywa na drzewie a dopiero wieczorem i w nocy lata. Po odbyciu rójki w czerwcu, składa w lipcu jajka na korze lub gałęziach (3 i 4), z jakich już w sierpniu lęgną się gąsieniczki (5) i do października objadają igły (6). W tym to czasie dorastają mniej więcej do połowy swojej naturalnej wielkości, po pniu złażą na ziemię i tu w pobliżu, bądź w ściółce lub mchu, zagrzebują się, a zwinąwszy się w kłębek, zimują i dopiero w końcu marca lub z początkiem kwietnia wyłażą z powrotem na drzewo i w dalszym ciągu objadają je z igieł aż do czasu osiągnięcia pełnej wielkości, t. j. blisko 8 cm. długości (7), poczem przepoczwarzają się w szarych oprzędach, przyczepionych do pnia lub pomiędzy gałęziami (8). Jak widzimy, gąsienica barczatki

cała pokryta jest krótkiem włosem, chroniącym ją od ptaków owadożernych z wyjątkiem kukułki, która, jak stwierdzono, oddaje leśnikowi nieocenione usługi, pomagając do tępienia tego szkodnika, pożera bowiem przez czas swego pobytu u nas do 50 tysięcy sztuk. Gdyby nie ta pomoc, nietrudno sobie wyobrazić, jakby wyglądały nasze drzewostany, pozostawione na pastwę barczatki sosnówki.



Rys. IV.

W wypadkach silniejszego wystąpienia barczatki, tępi się ją przez zakładanie pierścieni smołowych na pojedyńczych drzewach, smarując je na wysokości piersi. Nie mogąc dostać się przez taki pierścień do korony drzewa, gąsienice gromadzą się pod nim w większej ilości, ułatwiając zbieranie i niszczenie. Trzoda chlewna, wpędzona wczesną



Rys. V.

wiosną do lasu, ryjąc około drzew, tępi gąsienice w wielkiej ilości. Prócz tego każde spostrzeżone gniazdo jajek na pniu czy gałęziach, winno być natychmiast zniszczone.

X.

LEON PĘSKI.

Pogadanki o łowiectwie.

Przy końcu września, w przepiękny poranek słoneczny, leśniczy G. obchodził swój rewir, nasłuchując bacznie, czy nie doleci go oddalony głos porykującego jelenia.

W jego bowiem rewirze rykowisko już się rozpoczęło, tropił więc bacznie i zauważył, że z sąsiednich, graniczących z jego rewirem lasów, Prus Wschodnich, ciągną byki na rykowisko do nas, do Polski. Znał w swoim rewirze mocnego dziesiątaka, którego porykiwanie potężne słyszał nieraz podczas obchodów. Jednak dnia tego, jakoś cicho było w rewirze, szedł więc, kierując się ku granicy, wzdłuż starej buczyny z silnym podrostem dębowym. Gdy tak szedł, do uszu jego doleciał suchy trzask, jakgdyby mocne uderzenie kijem o pień drzewa, zwrócił się więc w stronę dolatującego go odgłosu, zaciekawiony, coby to być mogło. Szedł cicho i ostrożnie, a w miarę zbliżania się, słyszał coraz wyraźniejsze uderzenia, jakgdyby dwóch kijów, o siebie, a przytem od czasu do czasu głuche stęknięcia.

Zrozumiał. To jelenie widocznie się spotkały i pojedynek byków się odbywa.

Wiedział leśniczy G., że przy takim pojedynku licznie asystuje gromadka łań, czekająca końca pojedynku i zwycięzcy, bacznie pilnując, czy nie zbliża się jakie niebezpieczeństwo.

Podwoił więc ostrożność i rozpoczął ciche, bezszelestne prawie podkradanie się i oto, z poza gąszcza zieleni, ujrzał na swobodniejszym miejscu, jakgdyby polance, dwa potężne byki spierające się, olbrzymiemi wieńcami, ze sobą.

Obok stało stadko z pięciu łań złożone, ciekawie przypatrujące się bojowi, z ostro nastawionemi łyżkami, łowiącemi wszelakie podejrzane szmery.

Byki, walcząc, odskakiwały od siebie i pędem uderzały łbami, tworząc łoskot zderzających się, potężnych wieńców.

Leśniczy zauważył, że jeden z byków, to jego dobry znajomy i wychowanek, dziesiętak, drugi, to przybysz z obcych stron, dwunastak i ten ostatni najwidoczniej brał górę w boju nad dziesiętakiem, bo po pewnym zmaganiu się i krążeniu w kółko, dziesiątak począł stękać coraz ciężej i ukląkł na przednie kolana.

Nie wytrzymał stary leśnik G. i posłał ze sztucera swego kulę na pomoc swemu pupilowi.

Runął dwunastak, a zdumiony dziesiętak, zerwawszy się na nogi, uderzył rogami leżącego już wroga, a wzniósłszy do góry i kładąc nie-

mal na karku swe potężne wieńce, grzmiącym rykiem ogłosił borom swe zwycięstwo.

Nie słyszał biedak strzału, lecz usłyszał tętent uciekających łań i pędem puścił się za niemi.

Piękna to rzecz rykowisko jeleni i nie jeden myśliwy z opisów i opowiadań tylko, o tym cudnym, wstrząsającym nerwy leśnika i myśliwego, obrazie wiedzieć może.

Rykowiska w górach, rodzimych miejscach jeleni w Karpatach, gdzie jeleń dorasta rozmiarami swojemi i potęgą swych olbrzymich wieńców do rozmiarów nigdzie, w naszych borach, nie spotykanych, są najwspanialsze, a grzmiący ryk byków, potęguje się mnogim, odbijającem się echem, wśród gór skalistych, dolin i urwisk.

Jeleń w lasach naszych, w stanie dzikim, rozmnażał się przed wojną światową dość licznie, zawdzięczając hodowli jego z początku w rozmaitych prywatnych zwierzyńcach, a zwłaszcza w Spale i Puszczy Białowieskiej, stamtąd wywędrował on w przyległe bory i stał się królem puszczy i lasów naszych.

Obecnie, z powodu wojny, jelenie zostały silnie przetrzebione, zawdzięczając myśliwym, polującym dla mięsa i kłusownikom.

Stan jednak jeleni znacznie się zaczyna poprawiać, zwłaszcza w lasach i borach zachodnich kresów naszych.

Polować na jelenie można podczas rykowiska, na podchodnego, lub też wabiąc byki, jak również poluje się z zasadzki i z naganką.

Wab jednak jest rzeczą dość trudną, wymaga bowiem, nietylko znajomości dobrej i obsłuchania się z rykiem jeleni, lecz oprócz tego i zdrowych, potężnych płuc.

Jelenie byki, ryczą podczas rui, zwykle wczesnym rankiem, nieraz do późna rana, wieczorem i w nocy, zwłaszcza w noce księżycowe.

Podchodzenie jeleni nie jest łatwe, są one bowiem daleko ostrożniejsze od sarn i zawsze należy podchodzić pod wiatr.

Strzela się do jeleni, rozumie się, tylko kulami i żaden leśnik, szanujący swą godność myśliwską, nie strzela do jelenia choćby najgrubszemi loftkami.

Odstrzał jeleni dozwolony już jest od 1-go sierpnia, lecz i w tym wypadku, prawdziwy myśliwy i leśnik, miłujący swój zwierzostan, z dniem 1-go sierpnia odstrzału nie rozpocznie, wieńce bowiem jelenie nie są jeszcze kompletnie wytarte ze scypułu.

Natomiast dzierżawcy polowań, położonych wzdłuż lasów państwowych, wykorzystują dzień 1 sierpnia i ufność jeleni w długotrwały spokój, polują z zasadzki i strzelają do jeleni w pierwszym dniu zezwolonym, nie bacząc na to, co przed lufą stanie, czy byk kapitalny, czy słaby, czy też wprost szpicak.

Podczas mego pobytu służbowego w nadleśnictwie Jamy, na Pomorzu, wszedł do kancelarji pomocnik leśniczego, p. N., z meldunkiem, że wieczorem ubiegłego dnia, usłyszał strzał na granicy lasu, dokąd też niezwłocznie podążył i spotkał dzierżawców terenów myśliwskich gminnych, którzy, wykorzystując każdą chwilę i możność ubicia zwierzyny, już pierwszego sierpnia wieczorem zasiedli na ad hoc zbudowanych ambonach, oczekując na wyjście jeleni i jak powiadali leśniczemu, strzelali do silnego byka, który, mocno utykając na przednią nogę, uciekł do lasu.

„Niech go tam p. nadleśniczy poszuka", rzekł drwiąco jeden z myśliwych do leśniczego.

Postanowiliśmy pojechać i poszukać postrzałka, wyjechaliśmy więc z nadleśnictwa, zabierając ze sobą taksiuczkę Perełkę, która w całym tym polowaniu odegrać miała pierwszorzędną rolę.

Na granicy rewiru Dosocin, oczekiwał nas leśniczy p. N., któremu poleciłem, by nas poprowadził do owej ambony, zbudowanej przez dzierżawców.

Rzeczywiście, że wybrano doskonałe miejsce, bo na niewielkim pólku, o lichej glebie, pozostawiono specjalnie kępkę drzew, brzózek i sosenek, między któremi, na czterech dość wysokich słupach, postawiona była budka z szerokim otworem, zwróconem w stronę pola, zasianego lucerną i z tej to właśnie fortecy, sprytny strzelec, żądny wrażeń, a jeszcze więcej mięsa dziczyzny, strzelał do sarn, łań i rogaczy, ani popuścił i bykowi jelenia, rozpoczynając swe krwawe łowy na jelenie, już od 1-go sierpnia.

Po zbadaniu terenu, kierowani więcej domysłami i instynktem myśliwskim, rozstawiliśmy się na przesmykach, leśniczy zaś z Perełką, weszli do miotu.

Po chwili, poczciwa psina cienkim głosikiem dała znać, że ruszyła jelenia.

Stałem pod starym dębem, mając przed sobą dość dużą polanę i widok na szeroką drogę.

Nie spodziewałem się, by jeleń tędy zechciał uciekać, natomiast pewien byłem, że go ujrzę przemykającego przez polankę i rzeczywiście głosik psiny zbliżał się w moją stronę i ujrzałem wybiegające dwie łanie i wślad za niemi, wolnym truchtem, utykającego jelenia.

Strzał był zbyt daleki, nie strzelałem więc, obserwując przez szkła uciekającą zwierzynę i zauważyłem, że biedny jeleń miał zgruchotaną przednią łopatkę.

Zwierzęta po chwili znikły, a wkrótce usłyszałem strzał i głos psiny umilkł odrazu.

W tymże samym czasie wyskoczył z gęstwiny i stanął przede mną

przepiękny rogacz, cały czerwono-złoty, jaskrawo odcinający się od ciemnej zieleni świerczyny, zwrócił swą cudną główkę w stronę stojącej bryczki, bacznie obserwując ruchy koni i niespokojnie siedzącej na koźle p. Halszki, córki nadleśniczego.

Powoli podniosłem, nie sztucer, lecz lornetkę do oczu i z prawdziwą przyjemnością przyglądałem się pięknemu stworzeniu.

Ruch mój spostrzegł rogacz, jak piłka podskoczył do góry, błyskawicznie zawrócił i znikł w gąszczu.

Poszedłem obejrzeć dobitego jelenia, położyła mu kres życia i męczarni, dobrze skierowana kula ze sztucera p. K.

Był to dość silny, jak na swój wiek, jeleń ósmak, wieńce miał mocne, lecz jeszcze nie otarte ze scypułu.

Pan nadleśniczy K., hodowca i miłośnik zwierzyny, ubolewał nad ósmakiem, dowodząc, że byłby to wspaniały dwunastak, gdyby mu panowie dzierżawcy polowań żyć pozwolili.

Polowanie z naganką na jelenie, odbywa się w lasach, gdzie niema stałych rykowisk i wtenczas zadaniem leśnika, jest staranne otropienie danego ucząstku lasu, sprawdzanie tropów, tak po stopie czarnej, jak i po śniegu, ilości jeleni, jak również po tropach rozpoznać leśnik może i powinien, jakiego rodzaju zwierza ma w kniei, czy byka kapitalnego, czy słabego, lub też same łanie.

Czynność tę przeprowadzić powinien na kilka dni przed naznaczonym dniem polowania.

Myśliwych należy rozstawić w pobliżu przesmyków, przyczem baczyć, by wiatr był odpowiedni, t. j. nie od myśliwych.

Naganka nie powinna zbytnio hałasować, krzyki bowiem i zbytnia wrzawa często powodują, że jelenie cofają się, przebijając przez nagankę do kniei.

Dostateczne więc, gdy naganka posuwa się, zlekka pogwizdując i postukując kijami o drzewa.

Najpewniejsze jednak polowanie na jelenie jest polowanie z psami gończemi i w tym wypadku najlepszemi gończakami są taksiuczki, od których jeleń ucieka niezbyt szybko, a co najważniejsza, dąży zawsze znanemi mu przesmykami.

Jelenie lubią lasy duże i najchętniej się trzymają i mnożą w lasach o drzewostanie mieszanym, przyczem wymagają znacznej ilości wody i błotek, w których latem lubią się kąpać i zanurzać; o ile lasy takie posiadają w pobliżu pola siewne i dobre łąki, to możemy być pewni, że w takich kniejach jelenie chętnie będą przebywać i mnożyć się.

Rozumie się, że leśnik w hodowli jeleni wiele dopomóc musi naturze, a to zwłaszcza w tych lasach, gdzie przewagę mają drzewostany iglaste.

Jeleń żywi się wszelakiego rodzaju gałązkami i pędami drzew liściastych, lubi ogryzać korę i w tym wypadku, nawet nieraz czyni dość wielką szkodę w lasach, co jednak jest spowodowane brakiem odpowiedniej paszy i w tym wypadku leśnik powinien postarać się, by jelenie miały, w odpowiednio urządzonych paśnikach, dostateczną ilość karmy zimową porą.

Należy też urządzać specjalnie lizawki z soli, przemięszanej z gliną, rozmieszczone w rozmaitych punktach rewiru.

O karmnikach wogóle i o lizawkach, pomówimy osobno, jako o dziale specjalnie do łowiectwa należącym.

Leśnik wiedzieć powinien dokładnie ilościowy stan posiadanych jeleni, od niego bowiem zależy normowanie odstrzału, a tem samem prowadzenie racjonalnej hodowli.

W pierwszym rzędzie odstrzelone powinny być byki nienormalne lub słabo rozwinięte, z łań zaś te, które sprawdzono, że od dwóch, trzech lat potomstwa już nie mają.

Należy zwrócić baczną uwagę, by nie było nadmiaru łań w stosunku do byków i w tym wypadku należy liczyć jednego byka na 4 łanie.

Leśnik, miłujący zwierzynę, wie dokładnie, ile w swoim rewirze posiada tego królewskiego zwierza, bada starannie życie jego, ochrania go przed wrogami, z których najstraszniejszym jest kłusownik i to ten, który sidła nastawia i leśnik nieraz z narażeniem swego życia, staje w obronie swych wychowanków. Leśnik, kochający bór, przepełnione ma serce dumą i radością, gdy w rewirze swoim, prócz skromnego zajączka i wspaniałego jelenia spotkać może.

Na czasie.

Pragnąc bodaj w drobnej części przyczynić się do stworzenia i rozwoju w kraju nader pożytecznej gałęzi przemysłu jedwabniczego, dołączamy naszym czytelnikom do dzisiejszego numeru „Ech Leśnych" nasionka morwy białej celem ich rozsiania w pobliżu domostwa. Mówiliśmy już poprzednio, że morwa jest drzewem niewybrednem, nie potrzebuje specjalnej ziemi i udaje się wszędzie, byle w słońcu. Najlepiej więc wysadzać morwę na gruntach pochyłonych ku południowi. Wiemy z doświadczenia, że czym lepszy grunt, tym i plonu należy spodziewać się lepszego. O ile więc i dla morwy będziemy mieli grunt żyzniejszy, tem większa pewność dobrego rezultatu naszej pracy.

Zanim jednakże będziemy mieli co wysadzać, musimy przedewszystkiem starać się wyhodować odpowiednią flancę. W tym celu w drugiej połowie maja, kiedy już mniejsza obawa o przymrozki, należy w miejscu zabezpieczonem od wiatrów, lecz wystawionem na działanie słońca, przekopać ziemię na półtorej stopy głębokości, oczyścić tę ziemię z chwastów zrobić b. płytki rowek i rozsiewać w nim nasiona, które bezwzględnie muszą być przykryte lepszą ziemią, najwyżej do ¼ cala grubości i lekko przyklepane. Tak posiane nasiona należy jeszcze okryć gałązkami, chroniącemi zasiew od wiatru i nadmiernego upału. Odkryć można dopiero wówczas, kiedy roślinki dostaną już po cztery listki.

W czasie długo trwającej suszy należy dbać, aby ten niewielki rozsadnik był należycie podlewany. Przy starannej i troskliwej opiece, możemy już w jesieni wyhodowany materjał przeszkółkować, sadząc drzewka w odległości dwu stóp jedno od drugiego.

x.

L. MACISZEWSKI.

Na gajówce.

(Ciąg dalszy).

Spojrzał raz jeszcze na Witolda, chcąc się upewnić czy dobrze zrozumiał go, lecz kiedy ujrzał roześmianą twarz wrzasnął, aż szyby w oknach zadźwięczały:

— Cóż do krocset rogatych djabłów, w miejsce praktykanta leśnego przysłano mi golibrodę. Kim pan jesteś właściwie?

— Bardzo, a bardzo przepraszam pana nadleśniczego za moją niefortunną uwagę, przyznaję się do zapomnienia i gorąco proszę o przebaczenie, zdawało mi się, że jestem jeszcze w Warszawie i rozmawiam z kolegą i tylko temu roztargnieniu proszę przypisać moje niestosowne znalezienie się.

Pan Miazga w miarę tłómaczenia się Witolda znacznie ochłódł z pasji, był to bowiem człowiek ze wszech miar zacny, towarzyski, wyrozumiały i uczynny. Udaną srogością pragnął zamaskować dobroć serca, z jakiego słynął w całej okolicy.

Szorstkiem obejściem starał się wzbudzić przestrach podwładnych i utrzymać powagę jako zwierzchnika. I teraz w gruncie rzeczy żałował już swego uniesienia wobec świeżo przybyłego praktykanta, bo chociaż ten rzeczywiście znalazł się wysoce niewłaściwie, to nie zrobił tego przez brak szacunku, lecz przez brak wyrobienia. Najwięcej zaś obawiał

się wejścia żony lub córek, których wesołe śmiechy dolatywały do jego uszu z sąsiedniego pokoju. Przerwał więc czem prędzej dalsze wynurzenia Witolda i przez otwarte okno zawołał głosem jaki chyba usłyszano w o trzy wiorsty odległych Boratyczach:

— Bywaj tu Janek z kluczami od kancelarji.

Wołany zjawił się natychmiast, gdyż cały czas stał pod oknem gracując ścieżki.

— Zaprowadzisz panicza do kancelarji — zwrócił się do niego, i będziesz czekał jego zleceń. Po kolację dla panicza przyjdziesz tutaj. A pamiętaj aby tak pokój paniczów jak i kancelarja były w należytym porządku, bo inaczej będzie źle a wiesz, że żartować nie lubię.

— Na dziś żegnam panicza a jutro pogadamy obszerniej, — to mówiąc, skłonił lekko głową w stronę Witolda, dając tem do zrozumienia, że może odejść.

Opuściwszy gabinet nadleśniczego, odetchnął Witold pełną piersią, a kiedy wreszcie znalazł się w przyszłem swojem mieszkaniu, dokąd zaprowadził go Janek, dał wyraz swojemu zadowoleniu, fikając dwa kozły na stojącej przy drzwiach otomanie, ku wielkiej uciesze Janka, uradowanego z widoku przyszłego lokatora w mieszkaniu pieczy jego powierzonym.

— No nareszcie jestem u siebie — głośno monologował Witold, z ciekawością rozglądając się w przyszłej swojej siedzibie. A pokój był obszerny, jasny, przedzielony kurytarzem od kancelarji nadleśnictwa. W oknach stały doniczki z kwiatami. Pod jedną ścianą, na wzór koszar, stało trzy łóżka, poprzedzielane szafami na ubrania, na środku stół, parę krzeseł, otomana oraz umywalka, stanowiły całe umeblowanie pokoju. Wapnem bielone ściany pokoju, ozdobione były w paru miejscach naklejonemi arkuszami zapisanego papieru.

Zbliżywszy się ku ścianie dla obejrzenia przeznaczenia tych naklejek, odczytał Witold na pierwszej tytuł: „Instrukcja dla pp. praktykantów”.

— Mam czas na tą lekturę — mruknął Witold, dosyć jednak głośno, że usłyszał to Janek, który, pragnąc od razu stanąć z paniczem na stopie poufałej, zaoponował przeciw temu, mówiąc:

— Niech no panicz przeczytają zaraz, bo który tylko z poprzednich paniczów, jacy tu byli, machał ręką, jak obecnie panicz, źle na tem zawsze wychodził. A było ich tu przecież niemało i nie pierwszemu paniczowi będę usługiwał, nie takich my tu widzieli, a chociaż co prawda nie każdy umiał tak fikać kozły, jak panicz, ale dawaliśmy im radę.

Teraz dopiero spostrzegł Witold, że nie jest sam i że bezwiednie dał temu chłopakowi niepotrzebnie przedstawienie.

Należy tu w tem miejscu dodać, że odbycie praktyki u p. Miazgi było już w swoim rodzaju dodatnią rekomendacją. Praktyka ta bowiem była, że tak się wyrazimy, w pewnym stopniu uzupełnieniem nabytych w szkole wiadomości, a, wobec ustalonej sławy, ubiegano się o nią i dlatego rok rocznie było tu zawsze po kilku młodzieńców z różnych okolic kraju o różnych charakterach i poglądach, zmuszonych do wspólnego zamieszkania i bezwzględnego podporządkowania się despotyzmowi nadleśniczego. Najmniejsze uchybienie, niechęć poddania się wypisanej dla pamięci instrukcji, pociągało za sobą odesłanie pana praktykanta z powrotem na łono rodziny, poprzedzone przez odręczny list p. Miazgi z przedstawieniem sprawy.

Inaczej tłumaczono sobie w najbliższej okolicy surowy rygor, jakiemu poddać się musieli praktykanci, przybyli tu na praktykę. Opinja twierdziła, że praktyka u p. Miazgi była poniekąd domem poprawy dla tych młodzieńców, z którymi ani rodzice, ani szkoła rady sobie dać nie mogli. Stąd też i uwaga Janka, który, przeznaczony do posług praktykantów, w pojęciu własnem uważał siebie za część składową zwierzchniczej władzy, wykonywanej przez nadleśniczego.

Na szczęście w porę przypomniał sobie Witold przysłowie: „że kto pyta, nie błądzi" i dlatego postanowił wyciągnąć na słówko Janka, wypytując o stosunki, panujące w nadleśnictwie, a równocześnie zachwiać jego opinją, jaką mógł sobie wyrobić o nim, widząc go wywracającego kozły, przeto z wyrazem twarzy pełnej powagi, na jaką się mógł zdobyć, zwrócił się do Janka z uwagą:

— Przedewszystkiem, mój drogi, o radę nikt cię nie prosił, więc też nie pytany, głosu nie zabieraj, lecz słuchaj tylko poleceń. Ponieważ wściekle jestem głodny, przynieś mi kolację, bo chyba i pora już na nią, a później pogadamy.

Po odejściu Janka zapalił Witold papierosa i zabrał się do czytania instrukcji.

ROZDZIAŁ III.

Pomiędzy gośćmi, jacy w pamiętny wieczór nawiedzili gościnny dom Wojciecha, znalazł się tam również młodszy jego kolega i pomocnik w służbie, Szymek Trąbka. Jako kawaler nie bardzo rad brał udział w gawędach starszych kolegów, ale zato stale i uporczywie starał się nawiązać rozmowę z córką Wojciecha, Zosią, która często usługując gościom ojca, z konieczności pojawiała się po drugiej stronie domostwa, gdzie była zebrana brać leśna.

Zosia natomiast, o czem mówiliśmy już poprzednio, daleka od przeciętnych dziewcząt wiejskich, przez zdobytą naukę i wychowanie w innem środowisku, sposobiąca się nawet do zajęcia z czasem miejsca

nauczycielki w miejscowej szkole, była uprzejmą dla gości ojca i dlatego nadskakiwania Szymka przyjmowała pobłażliwie, pomimo, że raziła ją forma zalecanek, jakiej używał Szymek, przyzwyczajony do łatwych zdobyczy, zwłaszcza, że jako kawaler, w dodatku nie bez grosza, był zawsze pożądanym nawet dla gospodarskich córek. Wiele myślał o sobie, tembardziej, że, będąc dłuższy czas w wojsku, zwiedził trochę świata i dosłużył się nawet stopnia sierżanta. Ten stopień właśnie zawrócił mu głowę i dodał pewności siebie tak dalece, iż zdawało mu się, że byle tylko zechciał to trudno byłoby znaleźć w okolicy dziewczę, które oparłoby się zalecankom pana gajowego Szymona Trąbki.

Młodszy znacznie od swoich kolegów, traktowany był przez tych ostatnich z pewną wyrozumiałością na braki, jakie posiadał, których ukryć nie umiał a przyznać się do nich nie chciał. Obowiązek swój traktował jako zajęcie, do jakiego nie potrzeba, zdaniem jego, żadnego przygotowania. Według jego pojęć, wystarczało posiadać zdrowe nogi i silną pięść. A dawał tego niejednokrotnie dowody przy spotkaniu złodzieja leśnego. O ile Wojciecha lubiano i ogólnie szanowano, o tyle nienawidzono Szymka.

Kilkuletni pobyt w wojsku i konieczność ślepego wykonywania poleceń, zrobiła z niego maszynę, jaka dopiero po nakręceniu pełniła swoje przeznaczenie. Nigdy nie zastanawiał się nad tem, dlaczego polecono zrobić to tak a nie inaczej. Ten brak wszelkiego zainteresowania trzymał go do tej pory na stanowisku pomocnika, gdyż nadawał się jedynie do ochrony lasu przed kradzieżami, albowiem najprostsze zasady uprawy lasu, czy jego eksploatacji nie mogły mu się w głowie pomieścić. Hołdował zasadzie, że nie było nas — był las.

Wszelkie zabiegi w kierunku hodowli czy ochrony lasu przed szkodnikami świata zwierzęcego, uważał za wymysł ku większemu utrapieniu ludzi, zmuszonych w zawodzie leśnym zarabiać na życie. Tolerowano go jednak, gdyż obowiązki pełnił akuratnie, w przekonaniu, że z czasem nabierze zamiłowania do zawodu i okaże więcej zainteresowania. Celowo oddano go jako pomocnika Wojciechowi, licząc potrosze, iż dodatni wpływ starszego kolegi wyrobi zeń z czasem pożytecznego gajowego. Z obowiązków służbowych był przeto Szymek w różnych porach dnia codziennym gościem na gajówce Wojciecha, gdzie miał możność częstego spotykania się z Zosią, z którą stale się drażnił, opowiadając, jakoby słyszał, iż ten lub ów parobczak wiejski przechwalał się, że dziś śle swatów z wódką na gajówkę Wojciecha.

(C. d. n.).

Zmarli.

Ś. p. Józef Skrzek, gajowy l. p.

Zawierucha wojenna zagnała go do Finlandji. Po rozchwianiu się armji rosyjskiej dostał się do Dowbora. Korpus został rozwiązany. Gnany tęsknotą za domem, rozpoczął mozolną podróż, aż wreszcie, po rocznej tułaczce, obdarty i znużony, ale szczęśliwy, wszedł w długą ulicę rodzinnej wioski.

Był to czas „swobody". Lasy stękały pod ciosami chłopskiej siekiery. „Ano mamy Polskę, tera wszyćko nasze i las nasz" — to było dewizą okresu. Część ludności, jednak, zrozumiała wkrótce zgubność skutków dewastacji i zawiązała komitet obrony lasu, współdziałający ze służbą ochronną. Do ostatniego zgłosił się na ochotnika Skrzek i sumiennie, nieraz narażając życie, pełnił obowiązki. Oceniając uczciwość jego, ówczesny leśniczy wyrobił mu posadę gajowego.

Przez cały czas służby Skrzek był wzorem posłuszeństwa, uczciwości i sumienności w wypełnianiu obowiązków. Omal nie został zwolniony, dzięki energji w postępowaniu ze złodziejami, mimo to nie stracił na sumienności i gorliwości.

Dn. 28.II.927 r. zmarł nagle — odszedł bez pożegnania. Cześć pamięci Twojej, Kolego i obywatelu.

A. Wyrzykowski.

Do Czytelników.

W dążeniu aby „Echa Leśne", jako pismo, stały się naprawdę niezbędnym czynnikiem w życiu każdego z Czytelników, uważamy za pożądane a nawet konieczne, zapoznać się z opinją szerszych kół, prenumerujących to pisemko, a wyrażającą zapatrywania poszczególnych czytelników, a mianowicie: w jakim kierunku winno pismo nadal się rozwijać, aby z czasem osiągnąć cel powyższy?

Jednostronne, a często sprzeczne wiadomości, jakie z prowincji skąpo docierają do Redakcji, raz, że nietylko nie są wyrazem opinji ogółu, ale zaledwie znikomej jego cząstki, a powtóre, samo przedstawienie tych życzeń, podane w takiej formie, że nie daje jeszcze na-

prawdę realnych podstaw do wprowadzenia zasadniczych zmian w dotychczasowym kierunku pisma.

Dotychczas bowiem kierowaliśmy się zasadą, aby Czytelnik w chwilach wolnych od pracy mógł znaleźć nietylko artykuły, związane z zawodem, lecz również rozrywkę umysłową, pozwalającą bodaj na moment zapomnieć o troskach codziennego życia.

Z drugiej strony zachodzi obawa, że z chwilą zmiany w dotychczasowym kierunku pisma, poważna część Czytelników, których dzisiejsza forma w zupełności zadawalnia, mogłaby zaprzestać jego prenumerowania.

Unikając przeto tej niespodzianki, a chcąc zapoznać się z życzeniami całego ogółu Czytelników, zwracamy się do nich z apelem, aby, dla dobra pisma, zechcieli wypowiedzieć swą opinję, czy zmiana jest pożądana i w jakim kierunku?

Ułatwiając Czytelnikom wypowiedzenie Swej opinji załączamy do numeru kwestjonarjusz, który należy wypełnić, odciąć i po zaklejeniu 5 groszowym znaczkiem pocztowym wrzucić do skrzynki pocztowej.

Należy to zrobić zaraz po otrzymaniu pisma, aby już w następnym numerze mogła Redakcja podać wynik głosowania.

Zebrane odpowiedzi stanowić będą dla Redakcji cenny materjał, rozwiązujący zagadnienie, jakiem pismo być powinno.

W przeświadczeniu o pożyteczności tej akcji dla dobra pisma i jego Czytelników, czekamy na rezultat.

r.

Wydawca: Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej w osobie prezesa Związku Adama Schwarza.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, ul. Sienna 15.

W tem miejscu odciąć, złożyć oba końce ku środkowi i zakleić pięciogroszowym znaczkiem pocztowym.

Kwestjonarjusz.

---

1) Czy pożądana jest zmiana w dotychczasowym sposobie redagowania pisma *) ....

2) W jakim kierunku zmiana ta ma nastąpić:

   a) czy przez rozszerzenie działu fachowego ....

   b) lub większe uwzględnienie różnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego ....

3) Czy dział literacki t. j. wiersze, opowiadania i t. p. usunąć ....

4) Czy pożądane są w piśmie wiadomości z polityki ....

podpis:

....

---

*) Na pytania te dają czytelnicy odpowiedź według swoich zapatrywań więc wrazie chęci zmian słowem: *tak* lub słowem: *nie*.

DRUK.

Do Redakcji

„ECH LEŚNYCH"

W WARSZAWIE

Nowy-Świat 36, m. 4.